



**Justyna Melonowska**

Doktor filozofii. Adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie. Autorka książek i artykułów naukowych, m.in. *Osob(n)a: kobieta a personalizm Karola Wojtyły – Jana Pawła II. Doktryna i rewizja* (Difin, 2016), *Ordo amoris, amor ordinis. Emancypacja w konserwatyźmie* (APS, 2018), *Pisma machabejskie. Religia i walka* (Fundacja im. Augusta hr. Cieszkowskiego, 2020), *Pisma jakubowe. Religia i walka* (Fundacja im. Augusta hr. Cieszkowskiego, 2023). Jej zainteresowania badawcze dotyczą hermeneutyki, rozumienia ortodoksji religijnej, estetyki liturgii oraz związku religii i walki. Uczestniczka licznych debat publicznych. W TVP Kultura prowadziła magazyn filozoficzno-literacki „Do dzieła!” i współprowadziła audycję kulturalną „Tego się nie wytnie”. Jest członkiem jury Nagrody Identitas, współautorką tomiku *Bo oto nadeszła już zima. Głosy z wyspy Ułoya* (Pewne Wydawnictwo, 2024).

# Śmierć na smutek opowieści

Jeśli tożsamość jest nam dana, to jako opowieść o innych. To, jak opowiadamy sobie innych, jest naszym wyborem i tym samym jest wyrazem naszej wolności. A użytek, jaki z niej czynimy, mówi o nas wszystko, co o człowieku może zostać powiedziane. A zatem jest to być może najważniejszy z naszych wyborów.

Słowa kluczowe: rozmowa, opowieść, samotność, smutek, hermeneutyka

Moja sowa, Minerwa, wyleciała o zmierzchu, potem nastąpiła noc. Wpierw, w duchocie snu, przeżywałam katusze śmierci koleżanki z liceum. W mych majakach mówiono o zmarłej, że sama odebrała sobie życie, a uczyniła to przez zasmucenie się na śmierć. Rozumiałam, że podjęła taką decyzję, by ostatecznie i – jeśli można tak powiedzieć – ontologicznie opowiedzieć się po stronie smutku i niepocieszenia. „Niczego w bycie nie ma z radości i nic w nim nie wzbudza ruchu ku niej” – oto przekonanie dawnej znajomej, we śnie jasne dla mnie.

Powiecie, drodzy czytelnicy, że to tylko dziwny sen. Wiedźcie jednak, że on nie wziął się znikąd, lecz z tego, że dwa dni wstecz usłyszałam o nie tak dalekim krewnym nie tak dalekiego powinowatego, który umarł w ten właśnie sposób. Przy czym, konsekwentny, zaprzestał przyjmowania pokarmu. Je-

dzenie bowiem jest opowiedzeniem się za życiem, a zatem ma w sobie coś z radości. On tymczasem cały był smutkiem i jako Sam Smutek nie mógł jeść. Gdy na kilka dni przed jego skonem odwiedziła go w szpitalu bliska krewna, ujrzawszy go, zemdlła. Co ujrzała? Wyglądzone, wychudzone ciało? Zapewne. Śmierć nieodwołalną? Z pewnością. Czy jednak na ten widok się mdleje? Nie wiem tego na pewno, lecz chyba nie lub nie zawsze. Może więc ujrzała coś jeszcze? Sądzę, że ujrzała rozpacz, a rozpacz jest jak otchłań, która patrzy na nas jak zwierciadło.

W duchocie nocy – a miała ona w sobie coś ze spiekoty piekła – śniłam więc sen o zasmucaniu się na śmierć. Nie mogłam, nie mogłam odżalować koleżanki niewidzianej od lat! A przecież jedynie pod innym imieniem i inną twarzą skrywał się tamten mężczyzna, który dziś jest już „skonany”, lecz jeszcze „niepogrzebion”. I zdawało mi się,

że nie jest możliwe, by opłakać próżnicę takiej śmierci, bo ostatecznie – myślałam, śniąc jeszcze – nikt nie jest przeszłością aż tak pozbawioną przyszłości.

Za dnia myślałam o Samym Smutku bezustannie, napisałam też do wyśnionej i od lat niewidzianej koleżanki. A choć odpisała zaraz, że ma się dobrze, to jednak przez dzień cały nie mogłam się wyprostować pod brzemieniem opowieści o umieraniu na smutek. Zresztą zaczęły nagle cisnąć się do mej głowy i pamięci różne inne opowieści, na końcu zaś usiadły przy klawiaturze, na której wystukują teraz ten tekst o samych sobie jako innych.

Za dnia naszło mnie wspomnienie tej króciutkiej, w zasadzie błażej sceny, która przykuła mą uwagę kilka tygodni temu. W dalszej rodzinie pewna kobieta przeżywa katusze porzucenia przez dorosłe dziecko, które – wedle swej wiary i miary – darzyła uczuciem zwykle mądrym, zawsze solidnym,



Ilustracja: Józef Mehoffer, *Rozmowa*, pinakoteka.zascianek.pl, wikipedia.org

nierzadko entuzjastycznym, wiecznie ofiarnym. Tak przynajmniej sądziła. Gdy o tym rozmawialiśmy, nie pytała: „Co się właściwie stało? Jak to rozumiesz?”, lecz patrząc na mnie – lato sprzyja zwierzeniom – powiedziała po prostu: „Nie rozumiem historii, jakiej jestem częścią. Gdybym tylko pojęła, co to za opowieść, to wiedziałabym, kim jest bohaterka i co ma dalej robić”. Jest ona być może jedynym znany mi człowiekiem, który wierszom, powieściom i dramatom przypisałby jakąś moc zbawczą. A tej tu opowie-

ści nie przeczytała i nie zna, a zatem i nie pojmuje. Ona ją tylko... przeżywa. Na kanwie przypadku Samego Smutku myślałam o Smutnej Matce, potem o jej ledwie mi znanej córce. Czy ta się uśmiecha? Tak, zapewne. Być może jest Dziewczyną Radosną, a być może zaledwie Optymistką. Nie wiem tego. Pewne jest tylko, że pierwsze rozdziały życia matki nie obejmują córki. Zapewne bywają kartkowane („historie rodzinne”), lecz czytać o bohaterce i być bohaterką – są to rzeczy różne. Zresztą, myślałam dalej, trudne hi-

storie rodzą trudnych ludzi, a z kolei im człowiek trudniejszy, tym mniej wzbudza entuzjazm ku sobie i swej opowieści („moja historia”). Poza tym nie można chyba na poważnie wierzyć w to, że człowieka da się opowiedzieć. Nawet, jeśli on sam miałby to zrobić. Nie, człowiek jest dokładnie tym, co nie może być objaśnione. Nie oznacza to, że nie może być snuta opowieść o nim, lecz że mimo niej jest on i pozostanie samotny w formie najwyższej i ostatecznej. Jeśli jest coś, co relatywizuje ten fakt jasny i oczywisty, ▶

to jest nim literatura. A w pierw jest nim Bóg, jeśli jest.

Z kolei łatwe życiorysy cieszą się przywilejami, a miłe osobowości opisuje się dość szybko i zamasyście – zwykle przez wspomnienia aury, miejsc, obyczajów, węzłowych punktów („Był tam sad...”, „Księżdz odbierało się od sąsiadów saniami i tak jeździł na święcenie pokarmów od domu do domu, bo też wtedy jeszcze w marcu wysoki śnieg leżał, a i kwiecień bywał niepewny...”, „Wtenczas twój tata poprosił mnie do tańca...”). Zobaczyłam wyraźnie, że kobieta i jej córka snuły od jakiegoś czasu osobne opowieści o sobie samych i o sobie nawzajem. Matka widziała to teraz wyraźnie, a trzymając w palcach ledwie jedną nić, nie odważała się tknąć swej opowieści na wspólnej kanwie, byłby to bowiem haft nazbyt jednostronny. Sądzę, że przeszląbym mimo tych zaskakujących zwierzeń, nieco wymuszonych publiczną naturą matczynego zawstyżenia („Córka znów nie przyjechała”), gdybym następnego dnia nie usłyszała dziwnej i – zdało mi się w pierwszej chwili – nieco zabawnej wymiany zdań jej z synem, chłopcem niemal już dorosłym.

– To dlatego, że jestem pełna gniewu i bywam gwałtowna, a na domiar złego mam choleryczny temperament – powiedziała matka głosem człowieka zdeterminowanego zawiązać supeł na końcu nici własnego losu, a więc zrozumieć siebie za wysoką cenę ujrzenia się oczami sobie niechętnymi, i to oczami niechętnego sobie dziecka.

– Cholerycy – odpowiedział syn z cichą, spokojną pewnością tego, co jest mówione i ma być powiedziane – są ludźmi najbardziej kochającymi i najbardziej wybaczącymi. Ich wybuch trwa krótko, a sprawa raz załatwiona jest załatwiona na zawsze, nigdy do niej nie wracają.

W pierwszej chwili ta scena, podejrzana i niemająca mieć świadków, zaskoczyła mnie i zmieszała. Tak solidna zdała mi się miłość łącząca tych dwoje, zarazem tak pozbawiona ostentacji i tak na swój sposób „robocza” czy „zdolna do pracy”. Przypomniały mi się

te zapamiętane z młodzieńczych lektur słowa: „Trzeba, aby nasze spojrzenie było wyrazem takiego apelu sympatii, aby dało temu, do kogo jest skierowane, dość odwagi, aby siebie dostrzegł” (powiedział to, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, René Le Senne; źródła jednak nie umiem wskazać, niech czytelnik weźmie na siebie radość poszukującej lektury). Zaraz jednak uśmiechnęłam się pod nosem. „Wy – powiedziałam do siebie – wy, nie oni”. Ów syn bowiem sam jest wybuchowy i zapewne nie bez powodu to wszystko sądzi, co z prostotą i w lacedemońskiej mowie wyłożył swej matce. (Snuł zatem naraz dwie opowieści: o niej i o samym sobie). Scena ta jednak wracała do mnie potem wiele razy, aż mnie nawróciła na to dziwne widzenie sprawy, o którym tu teraz napiszę. W końcu bowiem, dzisiejszego ranka, po koszarnej nocy snienia śmierci zasmuczonej koleżanki, co z pewnością było reperkusją dziwnego skonu owego dalekiego krewnego dalekiego powinowatego, pojęłam coś z wolności. Różnica bowiem w opowieści córki i syna o matce nie objawiła mi w zasadzie nic z tej kobiety, lecz ukazała mi ich samych, jej dzieci. Oto dwoje opowiadaczy historii. Oto ich wspólna kanwa, lecz osobne wątki.

Matka i córka snują o swym wspólnym życiu dwie opowieści tak różne, że między kobietami zda się płynąć wartka i rwąca rzeka oddzielająca brzegi osobne, wysokie, milczące i wrogie. Jeśli opowieść matki nie jest opowieścią córki, a opowieść córki opowieścią matki, oznacza to – pomyślałam – że każda z nich dokonała wyboru (wątków, toposów, odcieni, nawet bohaterów). To zaś oznacza, że jedna (jako opowiedziana) jest wyborem drugiej: matka wyborem córki, a córka wyborem matki. Rozumiem przez to, że z możliwych, różnych (co najmniej dwu, jak to widzimy) opowieści, każda z tych kobiet wybiera tę, którą będzie snuła i której będzie protagonistką. „Oto, jaką sobie siebie wybieram”, „Taką sobie siebie wybieram,

jaką sobie siebie opowiadam”. Nie przestawałam myśleć nad tym, krążąc pomiędzy ludźmi na rodzinnej uroczystości, próbując odnaleźć się pośród nich – ja, gderliwa samotnica, układająca między ludźmi chybotliwe kładki ze słów. Zrozumiałam, że opowieści brzmiały głucho, póki mówiły o nas samych („Oto jak siebie widzę”). Zaczynały jednak wibrować głosem ożywionym, odkąd usłyszałam te łagodne słowa usprawiedliwienia skierowane do matki przez syna. Nie ją one przecież objawiały, lecz jego! O nim więcej mówiły, niż o niej. A zatem rozdził syn swą matkę w opowieści cieplej i rozumiejącej, lecz tak rodząc, sam się stawał, sam wychodził z łona opowieści jako człowiek, którym postanawiał być. („To, jak cię opowiem, zadecyduje o tym, kim ja sam będę”). Każda opowieść o drugim człowieku jest wyborem (wątków, toposów, odcieni, nawet bohaterów), a jako wybór – wyrazem wolności. Wolność zaś objawia osobę. W tym przypadku osobę snującą opowieść.

Czyż jednak nasze intuicje nie biegną w przeciwnym kierunku? Zwykliśmy sądzić, że to kim jesteśmy, dane jest nam w opowieści, którą snujemy o sobie samych („Urodziłem się tego a tego dnia...”, „Byłam królowną i mieszkałam w wysokiej wieży...”). Być może jest jednak inaczej. Tak, że jeśli tożsamość jest nam dana, to jako opowieść o innych („Moja matka powiła mnie w wielkich bólach pewnego jesiennego popołudnia...”, „Mój ojciec, mężczyzna miękki i łatwowierny, a przy tym łatwo dający się porwać namiętności, uległy wobec żądań swej drugiej żony – kobiety niestrudzonej w zabiegach koło swej urody i zawistnej – zezwolił na zamknięcie mnie w wieży wysokiej, wybudowanej z kamienia, którego szorstkość badałam palcami niestrudzenie podczas tych lat, gdy nasze królestwo wykrawało się w okrutnych walkach skłóconych stronnictw...”). To, jak opowiadamy sobie innych, jest naszym wyborem i tym samym jest wyrazem naszej wolności. A użytek, jaki z niej czynimy, mówi o nas wszystko, co o człowieku może zostać powie-

dziane. A zatem jest to być może najważniejszy z naszych wyborów.

Filozof Boga, religii i *pietas*, zarazem hermeneuta i egzegeta, musi ulec swej najgłębszej skłonności, by harmonizować swe myślenie o ludzkich opowieściach z samą Opowieścią. Pole hermeneutycznego znoju to najpłodniejsze miejsce na Ziemi, delta dwóch rzek – filozofii i teologii. Spróbujmy rzucić tu kilka ziaren. Pierwsze źdźbło od razu wysuwa się spomiędzy skib, bardzo prędkie i prężne.

„Postaw, Panie, straż moim ustom i wartę przy bramie warg moich” (Ps 141,3). Jakże szlachetne to zalecenie, lecz jeśli go posłucham, jakże będę wołać o sprawiedliwość? Jeśli miłować nieprzyjacioły swoje oznaczać ma snucie o nich opowieści najżyliwszych z możliwych, to jak – na litość boską – wyrazić mam ból, rozczarowanie, rozgoryczenie i krzywdę? Czy nie stajemy się niemowami lub – co gorsza – cukierkami pełnymi gorzkiej kwasoty? Nie, to przecież nie jest przeblawienie, ona może dopiero być jego owocem i skutkiem. Nie życzę sobie przeto straży przy moich ustach i warty przy bramie mych ust. Jako byt przytomny – człowiek, a więc mowa wcielona, pragnę słów i rozkoszuję się nimi, służą mi tak do odczytania, jak i rzucania uroków, i z władzy tej nie mogę zrezygnować, nie rezygnując z samej siebie.

Lecz przecież... gdy snuję opowieść, jestem właśnie jej władczynią. Jako władna używać słów, nadaję i odbieram, umieszczam i usuwam, pasuję i degraduję. Tak... Brak władztwa mi nie grozi. Grozi jedynie cisza, to straszne przedmurze śmierci, jeśli zmilczę, co sądzę o nim, o niej, o nich. W istocie też, gdy nie mówię, czuję się, jakbym umierała. A „Wielka jest śmierć. / Wciąż z naszych krtani / Słychać jej śmiech. / Gdy w pełni życia mamy ją za nic, / Płakać w otchłani / Dusz naszych śmie” (R. M. Rilke; tłum. M. Froński).

Oto zatem w niskiej, wschodzącej trawie piszczy wielki lęk przed włas-

nym niebytem, przed unicestwieniem przez okazaną *caritas*. Lęk tak wielki jednego ma tylko wroga potężniejszego niż on sam: bojaźń. Jest też ona najlepszym sprzymierzeńcem hermeneuty, w istocie bowiem walczy zawsze dwoma mieczami.

Zdanie: „Nie to, co wchodzi do ust czyni człowieka nieczystym, ale co z ust wychodzi, to go czyni nieczystym” (Mt 15,11) mogłoby znaczyć: „Nie ta opowieść czyni mnie nieczystym, która jest mi podana (nieraz jako w ogóle podawana z ust do ust – plotka, pogłoska, opinia), ale ta, która z mych ust wychodzi”. Zaś zbrodnią wartą piekła jest to słowo, które jest jakby ostatecznym ze wszystkich, które o drugim można powiedzieć („bezbożnik”): „A kto by [mu] rzekł: Bezbożniku, podlega karze piekła ognistego” (Mt 5,22). Oznacza to jednak, że słowo jest wyrokiem, a zatem prowadzi do Sądu. Z kolei zdaje się z tego wynikać – widzę tę drobnutką, nieśmiałą oziminę, jak wyciąga ramionka źdźbeł ku niebu – że hermeneuta Opowieści tak może rozumować, a nawet modlić się: „I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, a to znaczy: „I wysnuj o nas opowieść, podobną tej, jaką my snualiśmy o innych”. Tak, oczywiście, splataliśmy też wątki o sobie samych, a czasem robiliśmy to tak nieudolnie i dziurawiąc kanwę tak ciężko, że stawali się opowieścią nazbyt smutną dla samych siebie i wtenczas umieraliśmy. Nie tej, błagamy Cię, słuchaj, lecz tej, którą opowiadaliśmy o innych, zwłaszcza o swych ojcach i matkach, synach i córkach, i o swych wrogach, i o tych i tamtych jako tym samym, to jest o wrogich bliskich, wrogich krewnych. Co do opowieści o nas samych, Ty sam bądź pierwszym i ostatnim – Alfą i Omegą, życiem i skonem – który ją wysnuje. Czy nie tym w istocie jest twój Sąd? Po prostu nam nas opowiedz... Jako i my opowiadaliśmy naszych winowajców.

Pamięci Józefa Samego Smutku  
R.I.P.



Tu nas znajdziesz

Serwis Filozofuj!



Filozofuj @ Instagram



Filozofuj @ Facebook



Filozofuj @ Twitter

